

SAMOTNOŚĆ ANIOŁA ZAGŁADY - FRAGMENTY

Nie ja zabiłem tych wszystkich niewinnych ludzi!

Niebo było czyste, a słońce stało jeszcze wysoko, więc miejsce katastrofy zobaczyłem z dużej odległości. Zatrzymałem czterokołowca na szczycie niewielkiego wzniesienia i wyciągnąłem lornetkę. W dolinie, przez którą przebiegała linia kolejowa, stały dwa pociągi. Cholernie długi skład towarowy wypełniony kontenerami i srebrzysta gąsienica Amtraka na sąsiednim torze. W zasadzie słowo „stały“ nie oddawało w pełni tego, co widziałem. Może powinienem raczej użyć sformułowania „znajdowały się”, bowiem wiele wagonów nie trzymało pionu. Niektóre, zwłaszcza te należące do ekspresu, nosiły ślady poważnych uszkodzeń. Kilka było całkowicie zmiądzzonych. Cztery lokomotywy pociągu towarowego wypadły z szyn i leżały na żółtawej ziemi jak porzucone dziecięce zabawki. Na ich zielonkawych, pasiastych kadłubach widniały wyraźne ślady ognia. Z tej odległości nie mogłem dostrzec, co spowodowało katastrofę. Miałem jednak pewność, że nie była ona bezpośrednim skutkiem eksplozji nuklearnej albo trineutrinowej. Promieniowanie, także na tym zapomnianym przez Boga i ludzi skrawku ziemi, musiało być zabójcze, ale w takiej odległości od najbliższego punktu zero nie na tyle wysokie, by wszyscy zginęli od razu. Potwierdzeniem tego domysłu były wozy strażackie i policyjne, które zauważyłem przy zablokowanym, bliższym przejeździe. Chłopcy z Amboy, a może raczej ludzie z pobliskich kopalń próbowali ratować nieszczęsne ofiary katastrofy kolejowej, która zbiegła się w czasie z atakiem nuklearnym. Być może w ferworze walki o ludzkie życie nawet nie zauważyli ataku. Chociaż w środku nocy trudno przeoczyć błysk miliona słońc... Nawet tak odległy. Wiedzieli o nim czy nie, przed promieniowaniem nie było ucieczki. Widziałem przez lornetkę ułożone w równych rzędach ciała ofiar katastrofy. Widziałem też te, które leżały w nieładzie. Wiele z nich miało na sobie jaskrawe kombinezony służb ratowniczych. Wciąż miałem wybór - choć drugi, nieco dalszy przejazd przez tory także był zablokowany; stała na nim końcówka ogromnego towarowego węża. Linia transkontynentalna biegła w tym miejscu po idealnej równinie na przestrzeni najbliższych dwu, trzech mil, tak przynajmniej wynikało z danych widocznych na mapniku. Mogłem więc bez większego trudu ominąć miejsce katastrofy. Nie musiałem pakować się dokładnie w jej środek, ale wymagałoby to przejścia na tryb terenowy i zużycie sporej ilości benzyny. Zdecydowałem w ciągu sekundy, spoglądając na wskaźnik poziomu paliwa. Czas poznać ludzi, których... Nie, to nie ja ich zabiłem...

Do cholery, przecież nie ja wysłałem pociski, które spadły na Amerykę! Nie ja zabiłem tych wszystkich niewinnych ludzi! Ja tylko pomściłem ich śmierć! Byłem aniołem zagłady, to prawda, ale wyłącznie dla wroga!

Amen...

– O kurwa... – powiedziałem sam do siebie, powtarzając bezwiednie przekleństwo rzucone przez Susan. Na ekranie mojego monitora pojawił się rząd szesnastu wielkich i czarnych jak smoła cyfr. Sięgnąłem machinalnie do książki szyfrów, by potwierdzić odebranie i identyfikację rozkazu, ale wierzcie mi, nie musiałem tego robić, żeby wiedzieć, co oznaczają. Kolejne przekleństwo Sue potwierdziło moje najgorsze przypuszczenia. Spojrzałem na nią, siedziała w fotelu, z wielką brązową plamą na kombinezonie, i z otwartymi szeroko ustami gapiła się na monitor.

– Sue... – Nie zareagowała na moje słowa, więc podniosłem głos: – Susan!

Dopiero teraz odwróciła głowę w moim kierunku, lecz nadal nie zamknęła ust.

– Znasz procedury – powiedziałem najłagodniej, jak tylko potrafiłem.

Potaknęła mechanicznie, ale nie zrobiła nic więcej.

– Susan! – Tym razem postanowiłem odezwać się ostrzej. – Myliłem się, to nie sprawka Franka. Nie panikuj, mamy do czynienia z najzwyczajszymi w świecie niezapowiedzianymi manewrami. Nikt nie wyda rozkazu ataku. Musimy tylko uzbroić głowice i przygotować rakiety do ewentualnego startu. E -wen -tu -al -ne -go.

– Akurat – wyszeptała powątpiewająco, ale w końcu zabrała się do roboty.

Rzuciłem okiem na status bazy. Defcon 2, jeden krok od wojny. Aktywacja wszystkich wyrzutni, rakiet, tysięcy pieprzonych głowic najbardziej morderczej broni, jaką znała ludzkość. Od razu do pełnej gotowości bojowej, bez procedur potwierdzenia, bez rozkazów zwrotnych. Prosto pod klucz. Każdego wieczora i ranka modliłem się, aby nigdy nie było mi dane ujrzeć tych właśnie cholernych cyfr, które ostatni żołnierz widział całe wieki temu, chyba jeszcze podczas kryzysu kubańskiego.

– Podaż mi odczyty, jak tylko skończę procedurę sprawdzającą – przypominałem.

Jej zadaniem było wprowadzanie kodów aktywujących, ja zajmowałem się resztą. Doprowadzenie do pełnej gotowości bojowej naszych wyrzutni powinno trwać mniej niż dwie minuty.

– Porucznik Adam Sawyer, dwudziesty pierwszy kwietnia, godzina zero jeden, jeden, pięć, zmiana Delta. Wszystkie wyrzutnie gotowe do odpalenia – potwierdziłem do mikrofonów wykonanie rozkazu, gdy ostatnia kontrolka zapłonęła na zielono. Teraz mogliśmy tylko czekać. Nie powiem, że była to komfortowa sytuacja. Zazwyczaj podczas alarmów ćwiczebnych nie używaliśmy prawdziwych kodów startowych, co pozwalało na spokojniejsze przeprowadzanie procedur. Z drugiej jednak strony cholernie ułatwiało przełamanie się, mieliśmy bowiem niezachwianą pewność, że naciskając czerwony guzik, nie rozpętałyśmy piekła na Ziemi. Sztabowcy twierdzili od lat, że takie zabawy nie są w stanie odwzorować warunków bojowych i dlatego należy koniecznie je zmienić. Żeby wszystkie alarmy, w tym próbne, wyglądały jak ten dzisiejszy...

Wiedziałem o tym, jak chyba wszyscy w naszej bazie, i chociaż nie dotarła do nas żadna wiadomość o zmianie procedur, liczyłem w skrytości ducha, że ktoś gdzieś na górze, może nawet

w Białym Domu, wpadł na pomysł, iż nadszedł czas, aby „realnie” przetestować sprawność systemów obrony. Tak... To wydawało mi się, zważywszy na przebieg zdarzeń, całkiem prawdopodobne. W dwa tysiące jedenastym, tuż po zakończeniu kryzysu tajwańskiego, przeprowadzono podobne ćwiczenia. Podmieniono wtedy wszystkie kody dostępu w tajemnicy przed personelem baz raketowych, z wyjątkiem najwyższego dowództwa, i przeprowadzono alarm bojowy, do odpalenia rakiet włącznie, symulując eskalację istniejącego w rzeczywistości konfliktu. Po pięciu dobach niewyobrażalnego stresu, po czterdziestu godzinach utrzymywania Defcon 2, karmieni obrazami miliona chińskich żołnierzy wyruszających w morze, ludzie zamknięci w bazach raketowych nie mogli mieć złudzeń – oni wiedzieli, co oznacza ten rozkaz. Podobno tylko szesnaście procent zespołów dyżurujących zdecydowało się na użycie kluczy.

Szesnaście procent... I to długo po upływie regulaminowych dwu minut.

To był moment zwrotny dla strategów z Pentagonu. Pamiętałem doskonale, jaka burza rozpętała się w Waszyngtonie, gdy te dane ujrzały światło dzienne. Poleciały głowy, wiele głów. Mówiono nawet o zautomatyzowaniu całego systemu, ale prezydent miała jaja, nie uległa naciskom doradców i po burzliwych debatach zdecydowano zachować status quo. Nadal człowiek miał zdecydować o zagładzie swojego gatunku. Do dzisiaj uważałem to za słuszne, lecz...

Spojrzałem znów na Susan. Była blada, bardzo blada, za moment mogła się załamać.

– Sue, pamiętasz dwa tysiące jedenasty? – zapytałem.

Skinęła głową.

– Wydaje mi się, że dzisiaj mamy do czynienia z czymś podobnym.

Zerknęła na mnie i zobaczyłem wyraźnie, że drżą jej kąciki ust.

– Myślisz... że to jest test? – Nie zapanowała do końca nad głosem, choć bardzo się starała.

– Nie myślę, ja to wiem. – Musiałem ją uspokoić za wszelką cenę. – Kto mógłby nas zaatakować bez ostrzeżenia? Chińczycy? Rosjanie? Po jaką cholere? Przecież to nie dwudziesty wiek...

– Nie, to nie dwudziesty wiek...

Spodziewałem się, że uczepli się każdej myśli, która pozwoli jej odrzucić powagę sytuacji, i nie pomyliłem się.

– Pomyśl logicznie, Sue. Od czasu wojny z Iranem mamy cholernie nudną służbę. Sześć pieprzonych lat totalnego spokoju. Korea stała się oazą zjednoczonej szczęśliwości, Rosja jest zbyt zajęta liczeniem pieniędzy zarobionych na złożach Syberii, a Chiny wciąż nie przetrwały Tajwanu.

– Wiesz, Adamie... – Moje słowa wreszcie zaczęły do niej docierać. – Przed wyjściem na tę zmianę oglądałam wiadomości. Jutro jedziemy z dziećmi Helen do Disneylandu w Anaheim, chciałam zobaczyć prognozy pogody. Na cnn nie było żadnej wzmianki o konflikcie czy wzroście napięcia...

– Sama widzisz. – Pozwoliłem sobie na łagodny uśmiech, choć nie byłem w nastroju do żartów. – Podejdźmy do tego spokojnie, Sue. Zobaczysz, za chwilę dostaniemy odwołanie tego kurewskiego alarmu.

Tym razem nie miałem racji. Odwołanie nie przyszło. Nie minęło dwadzieścia sekund od momentu, gdy wypowiedziałem ostatnie słowa, a wszystkie ekrany ożyły, wypełniając się kolejnymi rzędami cyfr. Nie wierzyłem własnym oczom.

Defcon 1!

Do silosów popłynęły z powierzchni potwierdzenia celów, kody dla poszczególnych głowic, na koniec dostaliśmy rozkazy natychmiastowego odpalenia. Teraz i ja poczułem zimny pot ściekający po plecach.

– Przechodzimy na taktyczny. – Wydałem polecenie, obawiając się, że Susan go nie wykona, ale ku mojemu zdziwieniu główny ekran natychmiast wypełnił się liniami i symbolami.

– Klucz – rozpiąłem kombinezon i zerwałem łańcuszek, na którym miałem zawieszoną kartę magnetyczną zwaną potocznie, na pamiątkę dawnych czasów, „kluczem”.

Trzymając ją w ręce, popatrzyłem na Susan. Wahała się, lecz gdy skinąłem głową, sięgnęła trzęsącymi się rękami do zamka błyskawicznego.

– Odpalenie na trzy – powtórzyłem komendę, której nigdy nie chciałem wypowiadać na poważnie.

– Na trzy – usłyszałem krótką odpowiedź.

– Jeden.

– Jeden... – powtórzyła za mną, jakby cierpiała na echolalię.

– Dwa.

– Dwa... – Jej głos wyraźnie zadrżał.

– Trzy. – Mimo że przeciągnąłem klucz przez czytnik, ekran monitora pozostał czarny.

Spojrzałem na Susan. Trzymała kartę w szczelinie, ale nie wykonała ostatniego ruchu.

– Sue! – powiedziałem, starając się, aby zabrzmiało to nagląco. – Wykonaj rozkaz!

Pokręciła głową.

– Oszalałaś?! – Teraz już krzychałem. – Odmawiasz wykonania rozkazu?!

– To nie może być prawda...

– Nie nam to oceniać! Wykonaj rozkaz!

– Nie! – odparła krótko i stanowczo.

Poczułem, że tracę nad nią kontrolę.

– Susan, nie wiem, co ci się roi w głowie, ale wiedz jedno: ci na górze wyprują z nas... a zwłaszcza z ciebie wszystkie flaki, kiedy dowiedzą się, że zawiodłaś.

– Jeśli wykonam rozkaz, skażę na śmierć miliony ludzi. Setki milionów...

– Jeśli to nie są manewry, właśnie skazujesz na śmierć setki milionów Amerykanów!

– To nie tak, Adamie... Jeśli to jest prawdziwa wojna, odpalenie naszych rakiet nie uratuje ani jednego istnienia. Ja po prostu nie mogę...

Niech to szlag. Reakcja jak z podręcznika. Lata szkoleń, a i tak nie wytrzymała napięcia i świadomości, że uczestniczy w zniszczeniu wszelkiego życia na planecie. Musiałem zagrać va banque, choć prawdę powiedziawszy, też znajdowałem się blisko granicy wytrzymałości.

– Sue, powiedz szczerze, ufasz mi?

– Tak.

– Zatem posłuchaj uważnie, co ci powiem. Nie mamy pewności, czy to jest prawdziwy alarm czy tylko niestandardowe ćwiczenia, prawda?

– Prawda – powtórzyła jak automat.

– Właśnie. – Zaczerpnąłem głęboko powietrza i poszedłem za ciosem: – Jestem pewien, że bierzemy udział w teście podobnym do tego z roku dwa tysiące jedenastego.

A nawet jeśli się mylę, aktywując kody odpalenia, wcale nie bierzesz na siebie odpowiedzialności za to, co nastąpi. Po pierwsze, nie ty podjęłaś tę decyzję...

– Naprawdę? – Choć miała opuszczoną głowę, widziałem, że kąci jej ust wędrują w górę.

– Susan, wiesz równie dobrze jak ja, że na pięćdziesiąt dwa bunkry dowodzenia tylko szesnaście ma połączenie z wyrzutniami rakiet. I nikt nie wie, które z nich w danym momencie sterują całym systemem. Dobrze mówię?

– Dobrze. – Nadal na mnie nie patrzyła, ale zauważyłem, że z jej twarzy ustępuje napięcie.

Chwyła haczyk. Punkt dla mnie. Żeby wygrać, musiałem delikatnie doprowadzić sprawę do finału.

– Wyniki testu z czasów kryzysu tajwańskiego dowiodły, że mało kto podejmie się zgładzenia milionów ludzkich istnień. Dlatego dowództwo postanowiło skorzystać z opcji plutonu egzekucyjnego. Pamiętasz tę zasadę?

Kilkunastu żołnierzy strzela, ale tylko dwóch, trzech używa ostrej amunicji. Nikt nie ma pewności, że zabił. Wszyscy mają za to nadzieję, że ktoś inny był katem. – Mówiąc te słowa, zaczynałem błogosławić człowieka, który wpadł na tak szatański pomysł. – Susan, podobnie jest z nami. Pewnie nawet nie ma znaczenia, czy użyjesz swojej karty czy nie. Rakiety i tak polecą. My tylko dbamy o gotowość bojową naszych silosów, kody są dublowane, nadejdą z paru miejsc równocześnie. Jeśli to prawdziwa wojna, twój sprzeciw się nie liczy, ale jeśli mamy do czynienia z ćwiczeniami, właśnie marnujesz sobie życie. Wypieprzą cię na zbity pysk, a ja pewnie polecę zaraz za tobą. Zero odprawy, zero szans na przyzwoitą robotę, wilczy bilet na długie lata, pod warunkiem że nie wsadzą nas do więzienia za zdradę. Naprawdę tego chcesz? Marzy ci się spanie w kartonach gdzieś w East LA?

– Może masz rację...

– Mam rację, Susan – przerwałem jej bez ceregieli.

Wreszcie spojrzała na mnie, zauważyłem, że ma łzy w oczach.

– Odpalamy na trzy – powtórzyłem rozkaz.

– Na trzy – potwierdziła.

– Raz.

– Dwa.

– Trzy – tym razem nasze głosy zlewały się w jedno.

Znikające linie kodu na monitorach potwierdzały wykonanie rozkazu. Zabrało nam to sześć minut dwadzieścia sekund, a więc ponad trzy razy dłużej, niż zakładał regulamin. Lepiej późno niż wcale, powiadają. Otarłem pot z czoła. Pomimo pracującej pełną parą klimatyzacji nagle w centrali zrobiło się duszno. Miałem cholerną nadzieję, że za sekundę zobaczę komunikat obwieszczający koniec ćwiczeń. A jeśli nie... Ja też chciałem wierzyć, że byliśmy tylko pionkami w tej grze, że ci na górze zadecydowali o wszystkim, a nam przyszło tylko pełnić rolę statystów.

Chociaż użyłem klucza, chociaż namówiłem do tego Sue, nie dopuszczałem do siebie myśli, że oto wypuściliśmy na wolność szesnastu lśniących, smukłych jeźdźców apokalipsy.
– Amen. – Usłyszałem szept Susan, ledwie zapadła cisza.

